

Jacek Mroczek – „Cele czy Marzyciele...”

TeatrVaria, 26 kwietnia 2026

Link: <https://teatrvaria.blogspot.com/2026/04/cele-czy-marzyciele.html?m=1#more>

Czym jest marzenie? Jak odróżnić je od celu, rozłożyć w głowie i nauczyć się o nim spójnie myśleć. Mówić? „Marzyciele” w reżyserii Michała Telegi na scenie krakowskiego Teatru BARAKAH a w zasadzie postaci „Marzycieli” nie sprawiają wrażenia osób nadmiernie wygórowanych oczekiwań. A może to świat upadł tak nisko, że to co powinno być normą wchodzi w sferę nieosiągalnego wyobrażenia?

Spotykamy ich u progu symbolicznego choć bezrytualnego przejścia. Z chłopaka w mężczyznę. Z syna w opiekuna. Balansu na pograniczu uczucia i przygody. Popędu i fascynacji. Tu jest kocioł. Gotujący się wywar z ludzkich myśli i ograniczeń. Warzy się na scenie od pierwszej chwili, gdy widzowie wkraczając do teatralnej sali muszą przez nią przejść lawirując między aktorami. Ci jak w transie tańcząc śpiewają słynną frazę „Hey you, you’re losing, you’re losing your mind” duetu Rauri & Jaden Smith. Ledwo miejsca zostaną zajęte rusza spektakl. Piekący, dosłowny, bez taryf ulgowych ani dla sceny ani dla widowni.

Wszystko się tu mąci, przenika i dusi. Jakby „Marzyciele” działy się w skołatanym umyśle człowieka zagubionego w meandrach zależności społecznych, kulturowych i sytuacyjnych. Marcin (Marcin Piotrowiak) jako alter ego Mateusza (Mateusz Lisiecki) próbuje zagrać z nim w grę męskiej dojrzałości. Dwie wersje tej gry stają się ilustracjami dwóch aspektów współczesnej męskości - idealizacji siły i jej przeciwieństwa. Modelu pasywnie zniewieściałego, pozbawionego atrybutów agresji. Obalającego męski archetyp. Co leży u podstaw poszukiwań męskości i jej symboliki? Doświadczenie wpływające z dzieciństwa, w którym gloryfikowano siłę? A choć droga z kuchni do pokoju wiodła ledwie przez krótki korytarz, zawsze był tam czas aby zerknąć w lustro. Upewnić się, że wszystko „męskie” jest na swoim miejscu. Rozważań nad męskością jest w tym spektaklu sporo. Dominują one nad pozostałymi wątkami o bardziej uniwersalnym wymiarze.

Kacper (Kacper Kujawa) szuka tożsamości artystycznej, płciowej. Kulturowej. Szuka jej inaczej. Stara się dążyć do realizacji marzenia, poprzez identyfikację z wzorcem.

Czy istnieje jednak idealny Kacper do naśladowania przez Kacpra? Świetne są jego zawarte w monologu dylematy, mocno wybrzmiewa scena ekstatyczna gdy pada na podłogę wijąc się w epileptycznych drgawkach. Odnajduje siebie? Na drodze staje mu Monika (Monika Kufel) - femme fatale i wulkan namiętności. Ich romans, na wskroś fizyczny, to przykład kapitalnej pracy teatralnej. Pary Aktorów i Reżysera. Idą drogą zwierzęcego wręcz pożądania. Przekazują je sobie jak pałeczkę w doskonale zgranej sztafecie. Gdy dochodzą do granicy uczucia - Monika zamraża emocje. Odtrąca młodego kochanka. Ten zaskoczony, poniżony popada w rozpacz. Obnażony, odarty z marzeń zostaje nagim, pustym strzępem człowieka. Ciałem jedynie, któremu pozostaje własna nagość i rozpaczliwe obejmowanie samego siebie w poszukiwaniu skrawka akceptacji.

Przedwcześnie opisałem finał. Ale ten spektakl jest poszarpany. Porwany jak szczątki wypieranych ze świadomości wspomnień. Myśli, które przychodzą do głowy i budząc zawstydzenie pozostają w sferze równoważników zdań. Dawid (Dawid Tas) opowiada wstrząsająco o swojej pierwszej roli. O swoich doświadczeniach. Jego monolog przechodzi w rap. Z głębi siebie wydobywa zdania, buduje z nich obraz pokaleczenia człowieka w społeczeństwie obcości.

I ta kapitalna aktorsko scena Marcina. Ma dziesięć minut aby zapłakać. Próbuje. Szuka sposobu. Sięga po wzorce, wspomnienia, próbuje metody przeciwieństw. Nie pomagają śmiech, przepracowane traumy dzieciństwa. Nawet wzruszające na co dzień momenty i ważne konstatacje. Jest sam wśród zastygłych na scenie pozostałych postaci spektaklu. Stara się rozpaczliwie wykrzesać łzy. Dziesięć minut, które fascynują tak, że mijają niczym mrugnięcie powieki. Nie umie. Nie potrafi udąć najtrudniejszej, bo „niemęskiej” emocji. Nie potrafi publicznie zmusić krnąbrnego ciała do sztuczności.

W tle, jak zwykle w Barakah, niepokojąca i świetnie wpasowana w widowisko muzyka duetu Paweł Stus/Piotr Korzeniak. Krakowski teatr bez nich straciłby powietrze. Nie byłoby tej atmosfery. Środowiska do przeżywania spektakli. Dynamiczne, momentami ostre brzmienia. Jak znaki przestankowe w narracji aktorskiej. Kropki. Wykrzykniki. Barakah nie sięga w swojej przecież niewielkiej przestrzeni po uproszczenia. Nie zastępuje teatru kinem. Nie idzie na skróty. Muzyka i kawał realnego, świetnie wyreperowanego do ram spektaklu, życia. To właśnie „Marzyciele” Telegi.

Kolejny wieczór z teatrem, w którym gdy po ostatniej scenie gaśnie światło - zapada cisza. Skrócili ten spektakl. W zapowiedzi miał półtorej godziny. Zeszli za kulisy po

godzinie z kwadransem. Wracając z Krakowa zastanawiałem się, czy to powinno trwać dłużej? Czy ten model z wyciętym piętnastominutowym fragmentem jest lepszy? Less is more, można powiedzieć. Tu w „Marzycielach” więcej mówić nie było potrzeby.

I znowu pozostaje gonitwa myśli. Wątpliwości, nieco bólu z na nowo porysowanych blizn. Układamy się z życiem. Prowadzimy je po ścieżkach utartych. Często idąc w takt stąpania poprzedników, zapatrzeni w ich coraz mniej widoczne ślady. Warto się zatrzymać. Wraz z „Marzycielami” zastanowić. Czy są w ogóle jakieś marzenia? Może zostały nam, w dwudziestym pierwszym wieku, już tylko cele?